



SAMUEL DE ROMAN / GETTY IMAGES

TAJEMNICA MICHNIKA

Wśród kojarzonych z naszą niepodległością figur trudno znaleźć bardziej polską.

Są w niej romantyczne porywy, młodzińczy heroizm,
ale również wielkopańska pycha, krocząca przed upadkiem.
Czy jest też mądrość, przychodząca, kiedy nikt nie słucha?

MICHAŁ OKOŃSKI

PROROKIEM WE WŁASNYM KRAJU NIE jest już od lat i pewnie niejedyn z czytelników powiedziałby, że to dobrze, zwłaszcza jeśli się przeanalizuje losy wielu jego prorostw, z których ostatnim, jakie odbiło się szerokim echem, było to z 2015 r. – wedle niego Bronisław Komorowski miał przegrać wybory prezydenckie tylko w przypadku, gdyby pijany przejechał na pasach zakonnicę w ciąży. Zasadnicze teksty publikuje rzadko i żaden z nich nie zbliża się rangą do tych, które przed kilkudziesięcioma laty zapewniły mu miejsce wśród klasyków polskiego esaju. Ostatni duży wywiad we własnej „Gazecie Wyborczej” – przeprowadzony w 2021 r. przez Dominikę Wielowieyską pod tytułem „Wierzę w tajemnicę” – spotkał się z polemikami nawet na jej łamach. W roli czarnego luda polskiej prawicy zastąpił go Donald Tusk. Wydane w ciągu ostatnich dwóch lat książki na jego temat – „Demiurg” Romana Graczyka i „O Michniku” Roberta Krasowskiego – nie stały się przedmiotem debat odzwierciedlających zarówno cechującą autorów pasję, jak realne znaczenie bohatera dla historii Polski minionych sześciu dekad.

Wygląda na to, że 76-letni Adam Michnik słuchany jest dziś wyłącznie za granicą, gdzie otrzymuje kolejne nagrody i gdzie wygłasza przy okazji mowy, w któ-

rych diagnozuje kondycję demokratycznego świata, zagrożonego od lat przez te same demony: „agresywnego populizmu, nacjonalizmu, autorytaryzmu”, „pogardy wypowiedzianej językiem totalitarnej lewicy bądź totalitarnej prawicy”, „wrogości do tego, co najcenniejsze w tradycji europejskiej – do miłosierdzia tradycji chrześcijańskiej oraz do rozumu tradycji wieku światła”, że zacytuje ubiegłotygodniową mowę z okazji przyznania mu Nagrody Książniczki Asturii.

Złoty chłopiec

Dlaczego przestał być słuchany w Polsce, powiedzieć pewnie łatwo – zaczniemy jednak od tego, dlaczego wcześniej słuchany był tak uważnie i dlaczego jego głos znaczył tak wiele. Pierwszy raz usłyszał o sobie jako o wrogu ideologicznym PRL-u już w lipcu 1963 r., jako 17-letni przywódca młodzieżowego Klubu Poszukiwaczy Sprzeczności. Jego działalność napiętnował na plenum KC PZPR Władysław Gomułka – a powiadomiony o tym fakcie przez Jacka Kuronia, Michnik miał powiedzieć: „Daj mi spokój z głupstwami, mam poprawkę z fizyki”. Jego rodzice, jak sam opowiadał, „wywodzili się ze środowisk żydowskich i byli przed wojną komunistami” (ojca za sanacji więziono), później jednak poznali prawdziwe oblicze ustroju podczas wojny, spędzonej w stalinowskim ZSRR.

W PRL-u nie mieli już złudzeń, ale z pewnością należeli do uprzywilejowanych; dzieciństwo Michnik spędzał tyleż

w zamieszkałej przez elitę systemu warszawskiej alei Przyjaciół, co na obozach zorganizowanego przez Kuronia tzw. hufca walterowskiego. „Wpajano nam: ważny jest zespół, a w tym zespole ważny jest drugi człowiek. Każdy ma prawo do własnej opinii i każda opinia musi być wysłuchana” – opowiadał o formacji, jaką odebrał w „czerwonym harcerstwie”. Graczyk twierdzi, że właśnie tam mały Jakał wyzbył się nieśmiałości i stał się liderem rozdyktowanej młodzieży.

Uzdolniony był wybitnie; już jako ósmoklasista chłonał zakazywane w PRL-u, ale dostępne w domowej bibliotece lektury, m.in. wydawanego na emigracji Miłosza. Jako 18-latek dostał, najpewniej dzięki wpływom rodziców, paszport i odbył pierwszą podróż na Zachód. Z dzisiejszej perspektywy trudno sobie wyobrazić, jakiej brawury wymagały od owego „ślicznego blond aniołka” (tak zapamiętała go Zofia Romaszewska) odwiedziny u Jana Nowaka Jeziorańskiego w siedzibie Radia Wolna Europa i Jerzego Giedroycia w Instytucie Literackim. W każdym razie była to zapowiedź epoki, w której nazwisko „Michnik” brzmiało wręcz jak „Kmicic”, w rozumieniu: synonim odwagi nieliczącej się z konsekwencjami.

Po raz pierwszy do aresztu trafia jako 19-latek zaprzyjaźniony z autorami „Listu otwartego do członków partii”, Kuronia i Karola Modzelewskiego. W trakcie serii przesłuchań, mimo kompletnego braku doświadczenia (zasady postępowania →

*Na gali Nagrody Książniczki Asturii.
Teatr Campoamor w Asturii, Hiszpania
28 października 2022 r.*

→ w przypadku aresztowania i śledztwa miały się wykształtować wśród uczestników raczkującej opozycji dopiero w następnej dekadzie), milczy lub zaprzecza. Nie będzie to ostatni raz, kiedy Adam Michnik znajdzie się o krok przed wszystkimi.

Lew i jelen

Co było dalej, można przeczytać w podręcznikach mówiących o naszej historii i teraźniejszości. Ferment wywoływany na Uniwersytecie Warszawskim przez grupę, do której należy – nazywaną już wówczas „komandosami” („Jego charyzma polegała na tym, że mówił to, co my wszyscy myśleliśmy – ale tylko myśleliśmy – lub myśleliśmy, że możemy pomyśleć – wspominał jeden z jej uczestników, Bronisław Świdorski. – Pociągało w nim to, że mówił – jaskając się, a zatem pokonując i władzę, i siebie – rzeczy, których wtedy nie wolno było wypowiadać na głos”). Protest przeciwko zdjęciu z repertuaru Teatru Narodowego „Dziadów” Kazimierza Dejmka. Usunięcie z uczelni. Wydarzenia marcowe, po których staje się głównym obiektem ataków przystrojonych w narodowe szaty i grających antysemitką kartą propagandzistów PRL-u. Więzienie, w którym spędza półtora roku, instruując za pomocą grypsów mniej doświadczonych kolegów, jak zachować się w śledztwie („Prawdopodobnie zafundowałeś kilku osobom proces i wyrok. Masz jeszcze ostatnią szansę uratowania honoru i twarzy, bo dupy [podobnie jak i ja] i tak nie uratujesz. Musisz natychmiast odwołać wszystkie zeznania dotyczące innych osób...”). Po wyjściu – zbliżenie z nastawionymi opozycyjnie katolikami z kręgów „Tygodnika Powszechnego”, „Więzi” i KIK-u, a także rola nieformalnego sekretarza Antoniego Słonimskiego, będącego od czasów międzywojnia ikoną liberalnej inteligencji.

To wtedy staje się lwem warszawskich salonów: błyszczy erudycją i dowcipem, komplementuje aktorów i pisarzy, podbija serca męskie i łamie kobiece; z pewnością nie da się stworzyć portretu Adama Michnika bez owego rysu uwodziciela, tłumaczącego zresztą także i to, dlaczego niejedną z zakochanych w nim przed laty, dedykujących mu swoje utwory albo z zachwytem realizujących jego pomysły luminarzy polskiej kultury atakować go będzie w przyszłości z taką intensywnością.



Z Sewerynem Blumsztajnem, Barbarą Toruńczyk, Grażyną Kuroń i Jackiem Kuroniem w Łazienkach, Warszawa, 1967 r.

„Namiętna miłość do samego siebie”, o której pisała w tym kontekście na kartach swojego dziennika Halina Mikołajska, czy bycie „jeleniem na rykowisku” (jak przedstawia go cytowana przez Graczyka Anka Kowalska) to wszakże inny temat, podejmowany zresztą skwapliwie przez autorów mu niechętnych; w tym czasie na pierwszy plan wybijała się z pewnością niepodległość Michnika.

Rana na czole

Kiedy czyta się – cytowane przez Graczyka – sprawozdania z rozmów, jakie esbecy odbywają z nim w latach 70., trudno nie być pod wrażeniem hardości, z jaką traktuje funkcjonariuszy systemu: zaproszony na rozmowę przez telefon, w 1973 r. odpowiada, że „absolutnie nie dysponuje czasem, nie ma do nas żadnego interesu i nie ma przyjemności z nami się widzieć, na wezwanie telefoniczne nie zgłosi się”. „Wyjadę do Izraela na drugi dzień po tym, jak pan wyjedzie do ZSRR” – odpowiada beczelnie przy innej okazji. Do Izraela, mimo presji funkcjonariuszy, oczywiście nie wyjeżdża, za to w 1976 r., kiedy niespodziewanie znów dostaje paszport, wyrusza na Zachód i spędza tam blisko rok, stając się ambasadorem rozwijającej się właśnie działalności KOR.

Jest już wówczas po pisarskim debiucie, choć ze względu na kontrowersje, jakie budzi jego nazwisko, w „Więzi” czy paryskiej „Kulturze” publikuje pod pseudonimem. Od początku specjalizuje się w eseistyce historycznej, w której losy bohaterów sprzed wieku czy dwóch będą stanowić przesłanie dla współczesnych.

Niejedną czytelnik opublikowanego po latach w „Gazecie Wyborczej” tekstu „Rana na czole Adama Mickiewicza” będzie się oburzać na tę metodę z powodu zaprzęgnięcia „Dziadów” i filomatów do sprawy pogruchotania przyjaciół Michnika podczas śledztw pomarcowych. Jednak w 1975 r., kiedy pisze „Spór o pracę organiczną” czy „Cienie zapomnianych przodków”, wydaje się ona olśniewająco świeża.

Inna sprawa, że gdy Michnik zauważa, iż „naród żyjący w niewoli nie może się składać wyłącznie z bohaterskich konspiratorów”, ale „biada takiemu narodowi, który swych spiskowców uważa za niedowarzonych młodzików czy wynarodowionych demagogów” – to w akapicie tym można dopatrzeć się tyleż odniesienia do dylematów Piłsudskiego z pierwszych lat XX wieku, co własne zestawienie z Piłsudskim; od początku mierzył wysoko.

A był wówczas i tak przed najważniejszą – także z perspektywy dzisiejszego odrzucenia – książką.

Dzieło życia

Wydany po raz pierwszy w 1977 r. u Giedroycia „Kościół – lewica – dialog” to tyleż rozliczenie (także osobiste) ze stosunku „lewicy laickiej” do katolicyzmu w Polsce po 1945 r., co wezwanie do jego przepracowania. Po latach krytycy Michnika – co ciekawe, i z prawej, i z lewej strony barykady – uznawać będą to dzieło za z gruntu polityczne, w tym sensie, że położyło podwaliny pod – będący kluczem do sukcesu Solidarności, trwający w latach 80. i umożliwiający przełom 1989 r. – sojusz inteligencji, robotników i ludzi Kościoła.

Autor diagnozuje przy okazji postawę częstego i dziś, pełnego pychy przekonania, że tylko wyznawcy światopoglądu oświeceniowego znają prawdziwą drogę postępu, i przypomina, że postawa ta prowadziła do stosowania przemocy i zamykania „nieuświadomionych o potrzebie nieuchronności Nowego Ładu” w łagrach. Prawie pół wieku później, w kompletnie zmienionych okolicznościach historycznych, będzie zresztą te diagnozy powtarzał, sprzeciwiając się np. *cancel culture* albo dystansując wobec radykalnego języka protestów przeciwko zaostreniu prawa antyaborcyjnego przez Trybunał Konstytucyjny Julii Przyłębskiej.

Konsekwencje tamtego zbliżenia z Kościołem będą dla ustroju III RP faktycznie spore: w rozmowie z Wielowieyską Michnik tłumaczyć się będzie nawet z wprowadzenia religii do szkół czy konkordatu. Zarzuty bardziej fundamentalne postawi mu w „Prześnionej rewolucji” Andrzej Leder, pisząc, że skutkiem programu Michnika było oddanie przez lewicę pola w sporze natury kulturowej: że „wyrzeczenie się laickości i antyklerykalizmu otworzyło drogę do sytuacji, w której quasi-monopol na nazywanie dylematów moralnych uzyskała myśl katolicka”.

„Dlaczego uparcie uważasz, że nie ma moralności bez Ewangelii?” – to pytanie, które Wielowieyska zadawała mu „w imieniu młodych ludzi w naszej redakcji”, ale przecież w czasach, gdy na młodzieżowych imprezach „Barkę” śpiewa się dla beki, nie ogranicza się ono do środowiska skupionego wokół jednej gazety.

Kłopot i krzyż

Ciekawy jest ten mechanizm koncentracji oburzenia – znany Michnikowi skądinąd z ataków niejednego hierarchy i niejednego prawicowego publicysty, pojawiających się już wtedy, gdy np. w pochodzącym z 1987 r. eseju „Kłopot” przestrzegał przed scenariuszem, w którym „państwem rządzić będzie totalitarny aparat władzy, a społeczeństwem obywatelskim katolicki kler”, z nauk Jana Pawła II zaś pozostaną frazesy. W jego publicystyce od początku obecne były przecież oba te bieguny – afirmacji dla ewangelicznej nauki i krytyki kościelnej praktyki.

Z pewnością więc nie da się Michnika uczynić „głównym winowajcą” zarówno tego, że polskie społeczeństwo jest w większości katolickie i szuka w kościołach odpowiedzi na pytania o sens życia,

a polska tradycja i kultura pozostaje spleciona z chrześcijaństwem, jak i tego, że w obliczu ociekającego hipokryzją państwowo-kościelnego rytuału coraz więcej młodych postanawia się „odjaniepać”. Ciekawe zresztą, czy patrząc na dzisiejszych kontestatorów, widzi samego siebie z czasów antyklerykalnych gestów czerwonego harcerstwa i ma w uszach konkluzję ks. Józefa Tischnera, że „wyście tego narodu kompletnie nie rozumieli”?

W gruncie rzeczy w swoim pisaniu i mówieniu o Kościele Adam Michnik opowiada o przeżyciu najgłębiej osobistym – choć w latach 70. było ono udziałem wielu przedstawicieli tamtego pokolenia, nie tylko w Polsce. „Być nieposłusznym w pewnym określonym stylu to jest to, czego ja z chrześcijaństwa się nauczyłem – mówi Wielowieyskiej (celowo cytuję rozmowę z 2021 r., bo odbywa się ona już w kontekście protestów przeciwko zaostreniu ustawy antyaborcyjnej czy upowszechnienia wiedzy na temat roli Jana Pawła II w tuszowaniu skandali pedofilskich). – I ja nie umiałbym powiedzieć, że jestem ateistą. Ja wierzę w tajemnicę”.

„Boję się odrzucenia Dekalogu i odwrócenia od tradycji, boję się, że uczniowie nie będą wiedzieli, kim był Jezus. To nieusuwalny składnik naszej tradycji i oś europejskiego systemu wartości” – mówi dziś Adam Michnik. Cytuje Zygmunta Baumana, że „ludzkosc bez Boga jest nie do wyobrażenia”. I pyta młodą lewicę: „Chcecie tradycję wykorzenić? To jest nasz naród, on ma taką, a nie inną historię i rugowanie tego jest absurdem. I zwracam uwagę, że nawet jeśli będziecie budować osobny system wartości poza wiarą, to w gruncie rzeczy on przecież i tak będzie się pokrywał z najbardziej fundamentalnymi postulatami samej Ewangelii i z Dekalogiem”.

Zgroza?

Wysokie loty

A może raczej konsekwencja? Mówił to przecież i pisał, zanim jeszcze upadł komunizm. We wspomnianym „Kłopocie”, nawiązując do przywoływanych przez Leszka Kołakowskiego figur kapłana i błazna, próbuje zintegrować unoszące się nad polską kulturą lat 80. figury kardynała Stefana Wyszyńskiego i Witolda Gombrowicza. Zwracając się do „bezdomnego, niepokornego inteligenta”, który jak Wyszyński widzi potrzebę narodowego *sacrum* i jak Gombrowicz

chce z niego szydzić, radzi: „Bądź tedy pobożny, niepokorny inteligencie, ale nie wyrzekaj się sceptycyzmu – choćby w świecie politycznych zaangażowań. Uczestnicząc w antytotitarnej wspólnocie, chroń swoją bezdomność; dochowując wierności narodowym korzeniom, pielęgnuj permanentne niezakorzenie; w świat rozchwianych norm moralnych wnoś jasną prostotę ewangelicznych nakazów (»tak – tak«; »nie – nie«”), a gładki świat wartości urzędowo skodyfikowanych nasycaj śmiechem błazna i wątpieniem libertyna. Bowiem przeznaczeniem twoim nie jest ani świętowanie politycznych wiktorii, ani schlebienie własnemu narodowi. Masz dochować wierności sprawom przegranym, mówić rzeczy nieprzyjemne, budzić sprzeciw. Masz zbierać cięgi od swoich i od obcych, »bo tylko tak zdobędziesz dobro, którego nie zdobędziesz«”.

Cytując „Przesłanie Pana Cogito” znów mierzył wysoko – ale też pisząc te słowa faktycznie był bardzo wysoko. W karawale Solidarności jego wpływy na realną politykę związku nie były wprawdzie wielkie, ale na emocje uczestników ruchu spore, zwłaszcza kiedy objeżdżał kraj z serią świetnie przyjmowanych wykładów. Spore było również znaczenie, jakie jego ówczesnej aktywności przypisywali przywódcy Związku Sowieckiego: o tym, że nazwiska Kuronia i Michnika Leonid Breżniew wymieniał potępiająco w rozmowach z przybyszami z Warszawy, wspominał ówczesny I sekretarz KC PZPR Stanisław Kania. Nic dziwnego, że po wprowadzeniu stanu wojennego spędził w więzieniu – z niewielką przerwą – cztery i pół roku.

Honor Polaków

Niewielu spośród jego krytyków jest w stanie zatrzymać się w tym miejscu. Przyznajmy: może i dlatego, że sam Michnik wielokrotnie mówił, iż czas osadzenia znosił fantastycznie, że był to dla niego okres płodny pisarsko i że miał również owo szczególne poczucie wyjątkowości, przebijające z wyznania, iż czuł się człowiekiem, „któremu na pięć minut Pan Bóg powierzył honor Polaków”. Dyskutując jednak nad kwestią, czy tego poczucia kiedykolwiek w przyszłości się wyżył, albo czy nie nazbyt hojnie obdźbiał owym honorem komunistycznych generałów po roku 1989, trudno zaakceptować łatwość, z jaką np. Robert Krasowski

⇒ dyskwalifikuje jego ówczesne bohaterstwo jako niespełniające kryteriów „cichego, pokornego, anonimowego, właściwego ludziom, dla których liczy się osąd własnego sumienia”.

Owszem, po latach więzienne didaskalia z ówczesnych tekstów Michnika mogą wydawać się nadmierne, a znowuż zapewnienia, że się nie ugnie, że „woli być wolnym w więzieniu niż niewolnikiem poza jego murami” – brzmią patetycznie. Jednak można je uznać również za formę autoterapii. Zwierzał się zresztą, że miewa więzienne koszmary, a kiedy siedział, umierał mu ojciec. O tym zaś, że jego prześladowcy byli skłonni do przemocy, świadczy nie tylko zachowany w archiwum IPN film, na którym jest bity przez zirytowanych stawianym przezeń oporem klawiszy.

Cena poklasku

Był wówczas ikoną antykomunistycznego radykalizmu – idolem już nie tylko warszawskich salonów, ale właściwie całej zepchniętej do podziemia Solidarności, a zwłaszcza jej najmłodszych sympatyków. Im bardziej go wówczas kochali, z im większym zapalem cytowali choćby słynny list do Kiszczaka, w którym odrzucał ofertę zwolnienia z więzienia w zamian za wyjazd za granicę (list rozpoczyna się mottem z pisma księcia Józefa Poniatowskiego do targowiczanina Seweryna Rzewuskiego, co kolejny raz pokazuje horyzont ról, w jakich się obsadzał) – z tym większą niechęcią przyjmowali niezrozumiałą dla nich „fraternizację” z dawnymi wrogami w pierwszych latach III RP. Trudno w tym miejscu nie zauważyć przestróg zaprzyjaźnionego z nim Tischnera: „Posyłając do Kiszczaka list, mogłeś opublikować jego treść albo pozostawić sprawę między wami dwoma... Już wtedy pomyślałem sobie: »Oj, zapłacisz ty, Adasiu, za ten poklask mas, drogo za to zapłacisz«”.

Inna sprawa, że czytając po latach kaznodziejskie niemal frazy z tamtego dokumentu, można zatrzymać się przy jednym z końcowych fragmentów i kolejny raz uznać późniejsze zachowania Michnika za przejaw zwyczajnej konsekwencji. W grudniu 1983 r., tuż przed świętami, pisze tak: „Sobie zaś życzę, abym – tak jak zdołałem w Otwocku dopomóc w uratowaniu życia kilku Pańskim podwładnym [w maju 1981 r. powstrzymał przed samosądem tłum szturmujący tamtejszy poste-



KRZYSZTOF MILLER / AGENCIA WYBORCZA.PL

runek milicji – MOJ – umiał być na miejscu w samą porę, gdy będzie Pan zagrożony i zdołał także Panu dopomóc. Abym umiał raz jeszcze być po stronie ofiar, a nie wśród oprawców”.

Problem w tym, że dekadę później Adam Michnik nie był już bezbronnym więźniem systemu, tylko człowiekiem, który miał zasadniczy wpływ na kształtowanie nowego polskiego państwa. A obywatele tego państwa – niezależnie od osobistej zdolności do przebaczenia – domagali się także sprawiedliwości.

Sen Nowosilcowa

U szczytu popularności i sławy był w 1989 r. „Przy Okrągłym Stole miałem przekonanie, że złapałem Pana Boga za nogi – wspominał. – Byłem tak sobą zachwycony, jak nigdy przedtem i nigdy potem”. Wkrótce wystarał się u Lecha Wałęsy o posadę redaktora naczelnego opozycyjnej gazety, na której wydawanie zgodzono się podczas rozmów z władzami. W wyborach czerwcowych został posłem. Pisząc artykuł „Wasz prezydent, nasz premier” stał się w oczach Polaków architektem kluczowej dla zmiany ustroju decyzji; jak pisze Krasowski „twórcą królów, rozgrywającym polskiej polityki”, zwłaszcza że zaraz po publikacji tego tekstu z jego tezami polemizował człowiek, który za chwilę stanął na czele rządu – Tadeusz Mazowiecki. Choć pomysł rodził się wcześniej w głowach wielu opozycjonistów, choć później kluczowe negocjacje prowadzili bracia Kaczyńscy, fakt, że o wszystkim napisał opozycyjny dziennik, okazał się przeło-

mowy. A autor tekstu przekonał się, jak potężnym narzędziem może być w tym czasie gazeta.

Napisałem, że był to szczyt popularności i sławy, choć mogłoby się wydawać, że w następnych latach Michnik będzie jeszcze potężniejszy. Redagowane przezeń pismo wyznaczało trendy politycznych dyskusji jak dzisiaj Twitter i ustalało kulturalne mody i hierarchie jak dzisiaj influencerzy. „Żyliśmy w czasach, w których Adam Michnik wybornie znał się na poezji”, podsumował to zjawisko Marcin Świetlicki. Naczelnego „Gazety” słuchali także niedawni przeciwnicy – w czasach prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego traktowano go niemal jak wiceprezydenta. Jeszcze na początku XXI wieku w wielu środowiskach spojrzenie ukosem i zmarszczenie brwi Michnika wydawało się pochodzić ze snu Nowosilcowa. Wydawca dziennika, koncern Agora, był wtedy potęgą na rynku mediów, a w dodatku wejście spółki na giełdę i połączona z nim emisja akcji wśród pracowników uczyniły wielu dziennikarzy „Gazety” ludźmi bardzo bogatymi – Michnik w swoim stylu odmówił przyjęcia udziałów, które uczyniłyby go milionerem.

Walki z wiatrakami

Politycznie jednak w latach 90. naczelnny „Gazety” ponosił klęskę za klęską. W zasadzie jedynym projektem, za którym się opowiadał i który udało się zrealizować, okazało się wstąpienie Polski do UE i NATO, był to jednak projekt przekraczający partyjne czy ideowe barykady, w których wznoszeniu wiodł w owych czasach



TOMASZ GZELL / PAP

prym. Każde jego kolejne poparcie dla kandydatury polityka czy partii okazywało się pocałunkiem śmierci. A wojna ze zwolennikami ustawy lustracyjnej i twórcami IPN zakończyła się poparciem dla obu tych projektów nawet polityków z najbliższej mu Unii Wolności – trudno o bardziej dobitną ilustrację traconego przez Michnika rządu dusz.

„Nie był w polityce sprawczy, był jedynie głośny” – podsumowuje to Krasowski, ale najciekawsza w jego pamflocie na Michnika wydaje się obserwacja poczyniona mimochodem. Obliczem demokracji jest trywialna normalność, tyle że szef „Gazety” odmawiał przyjęcia jej do wiadomości: „był jak żołnierze japońscy ukrywający się przez wiele dekad w dżunglach Azji Południowo-Wschodniej, wciąż myślący, że wojna jeszcze trwa”.

Można z niego szydzić, można widzieć w nim herosa albo mieszkańca La Manchy – pewne jest jedno: po 1989 r. nic się w jego myśleniu o świecie nie zmieniło. Wciąż obawiał się nacjonalizmu i antysemityzmu, straszył duchem Moczara. Krasowski oskarża Michnika, że swoimi jeremiadami wzmocnił tylko postawy, które usiłował zwalczać, poczynając od osławionego „ciemnogrodu”, któremu dał tożsamość i protektorów. Jak pisze – gdyby nie jego tyrady, ów „omszały luddek” bredziłby coś o masonach, a tak elektorat Rydzyka, Jankowskiego czy Giertycha zyskał przeciwnika z krwi i kości.

Czy szare jest piękne

Opisując w 1997 r. niedoskonałości demokratycznego świata, tytułował swój

Podczas przesłuchania przez sejmową komisję śledczą w tzw. sprawie Rywina. Warszawa, 8 lutego 2003 r.

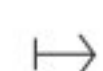
Po lewej: w drukarni nad szczotkami pierwszego numeru „Gazety Wyborczej”. Dom Słowa Polskiego, Warszawa, noc z 7 na 8 maja 1989 r.

tekst „Szare jest piękne” – tak przedstawiał świat, w którym mogą funkcjonować zwolennicy różnych światopoglądów, politycznych programów, wizji przeszłości itd. W swojej publicystyce na tematy polsko-żydowskie, wbrew np. Janowi Tomaszowi Grossowi, potrafił te odcienie szarości pokazywać. „W naszych czasach największym wrogiem prawdy są generalizacje, gdy jednym tchem mówi się »Polacy« albo »księża«” – mówił podczas debaty w 20-lecie publikacji „Sąsiedów”. Tu również wydawało się, że jest konsekwentny: kiedy np. w 1986 r. na łamach „Tygodnika Powszechnego” pisał pod pseudonimem o Tomaszu Mannie, wskazywał, iż pisarz ten „wiedział, że każda racja ma swoją kontrację, że każda konkluzja jest zubożeniem, że przyrodzoną i wspaniałą cechą człowieczej egzystencji jest otwartość, wieloznaczność i wielowarstwowość. Wiedział, że tylko język ironii i życzliwy osąd wszystkich formułowanych racji pozwala na harmonijne uczestnictwo w kulturze”.

Tamten tekst nosił tytuł „Don Kichot i wyzwiska”. Zważywszy na to, że postać Don Kichota przywołał także odbierając Nagrodę Księżniczki Asturii i cytując zdanie Miguela de Unamuno („Na więcej bowiem szacunku zasługuje błąd, w który ludzie wierzą, niż prawda, w którą nie

wierzy nikt”), można chyba powiedzieć, że figura błędnego rycerza należy do wyjątkowo mu bliskich. W toczonych przez siebie bojach rzadko jednak o pięknie szarości pamiętał, przeciwnie: wychodził na manichejczyka, a przykładów, w których wykluczał, piętnował, dzielił świat i ludzi wedle jednej grubej linii, było tak wiele, że aż czuję się zwolniony z obowiązku ich przywoływania. Akurat tu wystarczy obserwacja Rafała A. Ziemkiewicza, który wśród potoku inwektyw na jego temat zawarł trzeźwą uwagę: „Rys autentycznego tragizmu Michnikowi nadaje fakt, że Michnika-intelektualistę zabił nikt inny, tylko Michnik-polityk”.

Największą jego klęską była oczywiście ta związana z aferą Rywina, kiedy chyba nie do końca świadomie został obsadzony w roli lobbysty medialnego koncernu, któremu partia rządząca uniemożliwiała wówczas zakup telewizji. Podczas obrad wyjaśniającej aferę sejmowej komisji śledczej upowszechniła się również wiedza o tym, co szef największej w kraju gazety robi po wyjściu z redakcji: z kim pije i jakie interesy dobija. Odmawiając wówczas odpowiedzi na pytania posłów prawdopodobnie chciał być *fair* nawet wobec person pokroju Jerzego Urbana, ale wypadł fatalnie: jego zasłanianie się niepamięcią brzmiało jak robienie idiotów z widowni, która transmisje posiedzeń komisji oglądała wówczas niemal tak łapczywie jak skoki Małysza. Zobaczyła człowieka jak najdalej od „jasnej prostoty ewangelicznych nakazów”, człowieka unurzanego w politycznym błocie. To naprawdę był upadek z cokołu.



Upadła klasa

⇒ W ślad za tą klęską człowieka przez lata uważanego za symbol najlepszych tradycji polskiej inteligencji przyszedł – niebędący jej skutkiem, ale być może z nią powiązany – kryzys, jeśli nie kres tej formacji. Gdyby spytać o poczucie przynależności do niej młodsze pokolenia, także wykonujące zawody tradycyjnie z inteligencją związane, odpowiedzą szyderstwem, jeśli nie aktem oskarżenia.

„Polska inteligencja jako klasa społeczna jest potworna, nawet jeśli składa się również z ludzi inteligentnych, zacnych i przyzwoitych” – powie np. Szczepan Twardoch, podkreślając, że polski inteligent zawsze będzie wyzywał innych od „chamów”. „Inteligencja sprawuje dzisiaj kulturową hegemonię, blokując podmiotowość i możliwość partycypacji innych kategorii społecznych” – streszczał tę postawę przed kilkanaście laty na łamach „Znaku” Piotr Kulas.

Co Michnik ma do powiedzenia temu pokoleniu, oprócz oczywiście przestróg (o których aktualności przekona się ono być może w obliczu egzystencjalnych dramatów), by nie rugować zbyt łatwo z własnego życia obszaru transcendencji? Życzliwy mu z pewnością Andrzej Brzeziecki zestawia go z Szymonem Gajowcem z „Przedwiośnia”, który musi wysłuchać pretensji tych, którym zapowiadano szklane domy, a którym deweloper uciekł z kasą. „Co ma do powiedzenia ludziom, którzy są za młodzi, by ich papiery leżały

Gdyby spytać młodsze pokolenia o poczucie przynależności do inteligencji, odpowiedzą szyderstwem, jeśli nie aktem oskarżenia.

Czy Michnik ma im coś do zaoferowania?

w IPN-ie, ale których za to »lustruje« analityk bankowy i w ten sposób decyduje o ich przyszłości?” – pyta autor biografii Mazowieckiego. Krasowski jest brutalniejszy: „Wieś jęczała z głodu, robotnicy z gniewu, Kulczyk z radości, a Michnik ciągle mówił o generałach” – pisze, przywołując klimat intelektualny lat 90. Z pewnością *bête noire* Michnika, Jarosław Kaczyński, więcej rozumiał z tego, na co wówczas chorowała III RP.

Takie czasy

Jest w tym arcypolskim losie moment dotąd nieopisany, ba: kompletnie dotychczasowych biografów Michnika nieinteresujący, choć trwający przez niemal dwa lata: na 500 stronach Graczyka mamy o nim jeden akapit, oparty w większości na aktach IPN, na ponad 400 stronach książki Cyrila Bouyeure’a – równie mało. Po pierwszym wyjściu z więzienia i z wilczym biletem Adam Michnik pra-

cuje jako robotnik w Zakładach Wytwórczych Lamp Elektrycznych na warszawskiej Woli. Jak wspomina tamto doświadczenie i czy na jego podstawie miałby jeszcze coś do powiedzenia ludziom, którzy dziś go osądzają – przyznam, że chętnie zapytałbym o to Adama Michnika przy jakiejś okazji.

Bo myślę sobie, że z Michnikiem jest jak z innymi dużymi tematami polskiej historii najnowszej, weźmy np. powstanie warszawskie albo pontyfikat Jana Pawła II. Pamiętam lata i rocznice – wybuchu powstania, wyboru papieża – wobec których przechodzono obojętnie. Pamiętam takie, w których opisywano wyłącznie „czarne karty”. Pamiętam takie, w których postawienie pytania o sens zrywu albo słabości pontyfikatu wydawało się herezją. Pamiętam takie, w których zza lukru kremówek i kiczu festiwalowych pieśni nie widać było żywych ludzi, z całą ich niejednoznacznością. Pamiętam puste, okolicznościowe akademie, kombatanckie wspominki, ale też świadectwa prawdziwego dramatu.

Co zaś się tyczy kwestii „dochowowywania wierności sprawom przegranym”, zauważę tylko, że dziś Adam Michnik sprzeciwia się światu, w którym nie ma miejsca na życzliwość dla Kościoła katolickiego – nawet jeśli tylu jego ludzi okazało się przestępcami seksualnymi albo politykami w sutannach. Takie czasy, taka niepodległość.